

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mąd kwartał. 1 Złr. 30 kr.

# NO WINY

ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie  
Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

## KRÓL DZIADÓW.

### I.

#### Kłopoty pieniężne.

(Ciąg dalszy).

Żyd widząc takie wzruszenie na twarzy Grafa cofnął się ku drzwiom, przestraszony na prawdę, bo jeszcze nie widział go w takim uniesieniu. Lecz i w tej chwili nie zapomniał swej żydowskiej, podejrzliwej natury.

— Graf go zna? zapytał, patrząc mu w oczy coraz ciekawiej.

— Ja jego?.. mówił p. Ignacy coraz namiętniej i głośniej, i przyskoczył do żyda z iskrzącymi oczyma. Ty śmiesz mnie pytać o to.. Ty?..

Żyd już był przy kłance, bo mimo całej odwagi, jaką miał w obec tych, których miał w swoim pulariesie, wyraz twarzy Grafa, niezwykle wzbudzał w nim przestrasz mimowolny. Mimo to przecie odpowiedział na spojrzenie spojrzeniem choć nie tyle śmiałym, ale pełnym pogardy, jaka się rodzi w duszy bogatego lichwiarza dla podpadłego pana. Żyd takim pogardza jak głupcem, jak skórka wyciśniętej cytryny.

— Nu i cóż? aj waj! przemówił... Cóż to grafa obchodzi tak bardzo król dziadów?..

— Mnie!.. krzyknął pan Ignacy, i podniósł rękę ruchem namiętnym.

I kto wie co by się stało. Lecz w tej chwili otworzyły się drzwi salonu. Obaj mówiący spojrzeli ku nim i ujrzeli wchodzącego wysokiego mężczyznę.

— Pan major! przemówił żyd i skrzywił się niepospolicie, bo jednego majora bał się i szanował nadzwyczajnie.

— Mój brat! mruknął do siebie p. Ignacy i gwałtownym natężeniem stał się panem namiętnego wybuchu.

— Nic to, nic!.. mój panie Sral!.. ja nie jestem zdrów zupełnie! Ta propozycja oburzyła mnie nieco; gdzieżbym ja mógł wchodzić w stosunki z...  
— Ta że to przecie król!.. odrzekł szydyczko żydek. I nielada król, bo ma znaczne pieniądze.

— Bądź teraz zdrów, panie Feigele...  
— Żegnaj pana Grafa... I ten król mógłby najle-

piej odkryć, gdzie Wicewicz zakopał pieniądze, dodał z przyciskiem złośliwie szydyczym.

Żydek wyszedł, a p. Ignacy drżący jeszcze, poszedł ku drzwiom szklannym, by powitać czekającego w salonie brata.

— Coś w tem jest! coś w tem jest! myślał wychodzący lichwiarz.

Pan Ignacy wszedł do salonu, starając się przybrać nazad swoją zwykłą, zimną postawę.

### II.

#### Narada rodzinna.

Major czekał na brata na środku salonu.

Był on starszy od p. Ignacego o lat blisko dwadzieścia, ale z pewnych względów młodziej od niego wyglądał. Wysoki, silnej, jędrnej i żyłastej budowy, trzymał się prosto mimo swych lat siedmdziesięciu, a w ruchach swoich i całej postawie, pełnej jeszcze życia, zachował coś żołnierskiego, cóż go młodszym robiło. Siwy jak gołąb, włosy miał nadzwyczaj gęste i wąs suty, z polska noszony; ale pod tą siwizną było czoło i twarz dziwnej jeszcze młodości, bo na czole spoczywała jeszcze widocznie myśl dzielna, a z twarzy, która musiała być dawniej bardzo piękna, wyglądało czerstwe zdrowie i wyraz życia, dobywający się z głębi duszy. W oczach lyskał szczególny jeszcze zapal, wskazujący, że nie wygasł w nim jeszcze wewnętrzny męski ogień. Zapal ten, miękzył wszakże wyraz szczególnej dobroci, która przebiegała się przez wyraziste spojrzenia błękitnego oka. Cała twarz majora pociągała sympatycznie ku sobie zbiorem, że tak powiem, wyrazów najszlachetniejszych: prawej myśli, dzielnej duszy i poczciwego serca; na pierwszy pozór surowa wzbudzała w każdym miłe jakieś uczucie, które Ignęło ku niej. Mimowolnie kto tylko zbliżył się do majora, musiał go kochać i szanować, chociaż i bojaźń wzbudzić potrafił, gdy mu z jakiej ważnej przyczyny wewnętrzne oburzenie wybiegło w oczy, na czoło i twarz. A w takich chwilach nie bardzo bezpiecznie było się zbliżać do majora, bo wówczas przypominał sobie wojskowe czasy, i występował ostro i groźnie, a rznął prawdę od ucha, bez najmniejszej ogródki. Jednym słowem śliczny to był starzec, jakby one



góry nasze jędrne, pełne życia, co źródłami z nich wypływa, stoma zielonych konarów ku niebu sięwznosi, choć śnieg mroźny wspaniałe pokrywa wierzchołki. Pan Stanisław Wyżyński był prawdziwym typem dzielnego wojownika polskiego, jakiego już dziś rzadko gdzie zdybać, był on prawdziwym szlachcicem polskim, w całym szlachetnym tego słowa znaczeniu; szlachcic bo szlachetny, bo nieprzyjaciel wszelkiej podłości, pomny na przeszłość rodu i kraju, spowinowacony krwią za ten kraj przelaną, gotów do wszelkich poświęceń za tę ojczyznę, tak namiętnie ukończoną.

Lecz przejdźmy do salonu Wyżyńskiego, a może go bliżej poznamy.

— Dzień dobry ci panie Ignacy! przemówił stary major głosem pełnym jeszcze i dźwięcznym.

— Dzień dobry kochanemu majorowi! odrzekł p. Ignacy z przymuszonym uśmiechem, i zbliżał się do niego zgięty do ukłonu, jakby nieśmiało bratu zajrzeć w oczy. Ze wszystkich może, co jakkolwiek z majorem mieli styczność, jeden jego brat rodzony więcej się go bał niż kochał. Jak wszyscy ludzie nietęgich głów i nietęgich serc, ugiął się przed lepszą głową i lepszym sercem.

— Że też panie Ignacy nie możesz się obejść bez tego szachraja żyda.

— — A że też pan brat taką ma do Srula antypatję, odrzekł znowu p. Ignacy, próbując nowego uśmiechu, który mimo wszelkich natężeń nie szedł mu jakoś.

— Tam do kroćset!.. mamże lubić tego łotra, który cię obdziera.

— Trudno bardzo, by mógł mnie obedrzeć.

— Chyba dla tego, że już cię do naga obdarł; ależ po co jeszcze się tu kręci..

— Nie żyłeś panie bracie naszym życiem obywatelskim, w którym bez żydów niepodobna się obejść.

— A to mi piękne obywatelskie życie. Dla tego też tacy jak ty panie Ignacy obywatele, wszyscy w żydowskich są rękach, i za majątki swe, które się żydom dostają w ręce, odbierają w zamian naukę szachrajstwa.

— Za nadto jesteś surowy panie bracie!.. zagadł pan Ignacy, urażony więcej niż zwykle w skutek zapewne dzisiejszego rozdrażnienia.

— Alboż cię nie namawiał może na jakieś nowe szachrajstwo?..

— Szachrajstwo!.. nowe!.. pan major dziś jest w złym humorze.

— Mniej dbałbyś o mój honor, a więcej o własny honor.

— Mój honor!.. panie bracie!.. mówił graf dalej, przybierając minę poważną niby, co jego twarzy żadnego niemającej znaczenia, nadawało coś nadzwyczaj pocieszego. Co honor może mieć wspólnego z żydem?.. Posuwasz się za nadto majorze!..

— Ja się posuwam za nadto!.. tam do kroćset bezek batalionów, nie ciągnij mnie za język panie Ignacy. Jako twój brat i to starszy mam przecie prawo dbać o twój honor, gdyby nie przez obowiązek, nie przez uczciwość, toć do diabła dla tego samego, że obaj jedno nosimy nazwisko.

— Ależ panie bracie!

— Tu niema żadnego ale!.. Szachrujcie z tym psem niewiernym, i okpiwacie kogo tylko złapać możecie, na pożyczki i kupna, pożyczki bez nadziei oddania, kupna zaś bez towarów.

— Zdaje mi się przecie, że mi wolno w moim majątku własnym...

— Własnym!.. krzyknął major głosem grzmiącym, jakby stał przed pułkiem. Własnym!.. powtórzył, i zmarszczył siwe brwi, a oczy wyteżył, aż się zdawało, jakby się iskry ze śniegu sypały. Krótką masz pamięć panie Ignacy.

— Ja tylko chciałem powiedzieć, zaczął i urwał pan graf z zwiększającym się zmieszaniem.

— Wiesz, że nie jest moim zwyczajem przypominać co przypominać przykro, i wypominać co się nie wróci nazad. Ale czego zanadto, tego i za wiele mój bracie!.. Żyjemy razem z sobą pod jednym dachem lat dwadzieścia z okładem, i wiesz dobrze że ja starszy brat, com cię będąc na kolanach huśtał; jestem niby paniczem w twoim domu i za panicza uchodzę, bo sam dajesz to do zrozumienia.

— Kochany Stanisławie, co za myśl!

— Nie baw się w dyplomację ze mną, gdyś nim nie był, a ze mną starym wiarusem wyszedł byś w tej mierze jak Zabłocki na mydle. I mniejsza o moje państwo, jeżeli mi się tak podoba, jam się od powrotu mego z zagranicy ani razu o rachunki nie spytał.

— Kochany Stanisławie!.. twoje serce!..

— Dajmy pokój sercu, między nami panie Ignacy, nie może być mowy o sercu, zawołał major z bolesnym i smutnym przyciskiem. Na punkcie serca rozeszły się nasze drogi, i chyba się zdybiały zastygły pod kamieniem grobowej kaplicy. Jam walczył na pobojuwisku, tyś się wtedy lizal. Nie twoja to może wina, i niestety nie ty sam taki!.. serce! serce między nami!..

I z dziwnym wzruszeniem zamilkł, i kilka razy nierównym po salonie przebiegł się krokiem. Pan Ignacy usunął się w kąt i stanął jak trusia, i na tyle tylko dyplomacyi zdołał się zdobyć, że zabębnił na szybie jakiegoś kozaczka.

— Lecz nie o tem mowa! zagadł znowu major, i pociągnął się za wąs, jakby chciał tym sposobem wyciągnąć wszystkie przykre myśli. Nie rachowałem się z tobą, i wiesz najlepiej, że grosza ojcowizny nie odebrałem od ciebie.

— Okoliczności!..



— Okoliczności, to wymówka dla głupców i dla łotrów. Nie przerywaj mi, bo tylko mnie irytujesz, a ja ci muszę powiedzieć, co mam na sercu. Nie odebrałem, bo mi się tak podobało, bo mnie staremu żołnierzowi nie wiele potrzeba, a ty... ty chciałeś się żenić wówczas. I gdy wziąłeś tego anioła... co się twoją żoną nazywa... dodał, a głos jego zmięknął niezwykłym rozczuleniem.

— A już to moja Zosia...

— Jest anioł i kwita. Powiedziałem ci wówczas; nigdy nie odbiorę mojej połowy i grosza złamanego od ciebie nie żądam, ale niech ona będzie szczęśliwa!...

— Czyż się Zosia skarży?...

— Nie przeszkadzaj próżnemi słowy. Ona się nie skarży ale o jej szczęście bodajby cię nie spytano tam, gdzie się od obrachunku nie wykreścis ani dyplomacją ani Srulem. I powiedziałem tobie; oczyść majątek, a jak będziesz miał dzieci, niech ich będzie razem i moje i twoje.

— Ty wiesz, ile się namęczyłem...

— Do milionset karabinów! nie podszywaj się w błazna.. Tyś się męczył, aby długi robić na najgłupsze zbytki, bo na wystawy tak głupie, jak ta facjata, którą jak parawanem zakryłeś ostatnią basztę z zamku naszych dziadów. Przynależem, a szlachcic, polak i żołnierz, słowa zawsze dotrzymuje; nie upominałem się i mam to dziś na sumieniu, bo przynajmniej moja połowa ratowałaby od nędzy twoją żonę i twego jedynaka, ostatniego potomka naszego dawnego i poczciwego rodu. A dziś w razie twej śmierci mogą oboje pójść pod płot.

— W razie mojej śmierci Zosia znajdzie w tobie najczulszego opiekuna! zagadł szybko i bez zastanowienia a nie bez złośliwego pryncisku.

— Do milion diablów! milcz! bym nie zapomniał, że jednego mieliśmy ojca. Rozumiem twoje głupie przymówki, którymi chcesz krzywdzić żonę i brata, ale oplwać i brylant można. I zapewne źle zrobiłem, że poznawszy Zofię, tobie ją odstąpiłem, tą poruszony myślą, że jestem dla niej za stary. I myślałem, że ty ją kochasz miłością serca młodego!... Tyś kochał jej ciało i posag!

— A pan brat!... syknął graf.

— Pan brat do kroćset!... zakrzyknął, i nagle uspokoił się z większą jeszcze niż dotąd mówiąc powagą. Pan brat prosi cię Ignacy, abyś się opamiętał i ratował, co jeszcze da się ratować dla niej i dla jedynaka. Czyliż chcesz by twój syn poszedł wycierać bióra kancelaryjne i praktykował i w ten sposób uczył się rozumu?

— Ależ nie jest tak źle!... Jeszcze mam środki, mam nadzieje....

— Okpić, otumanić, okraść kogoś za pomocą doradcy twego, Srulem.

— Jużciż ratować się trzeba.

— A lepiej do stu kartaczów umrzeć z głodu, jak wyratować się ze szwankiem czci i honoru.

— Prawdziwie niewiem... nierozumiem....

— Zkąd ja przychodzę do takich wymówek. Słuchaj więc: Był dziś u mnie na folwarku Goździkiewicz.

— A ten łotr co mie okradł!..

— Milcz! jest w tem łotr, ale pewnie nie on! Goździkiewicz służył ci wiernie, jak ojciec jego naszemu ojcu, z którym nawet razem barskie przebywał potrzeby. Tyś wziął pożyczanym sposobem...

— Jeżeli się co należy, to mu się odda, ale ja mam rachunki.

— Wybiegi których cię nauczył twój Srulem, mszcząc się na Goździkiewicz, że zawsze walczył na przeciw niemu i może przez lat kilkanaście utrzymywał twoją ruinę zupełną. Znam te rachunki, i wiem że się jemu jeszcze należy, a tyś go przecie jak psa wygonił z chaty, w której się on i jego sześcioro dzieci rodziło, z chaty, którą ojcu jego nasz ojciec dał jeszcze. I zabrałeś mu chudobę!

— Ależ?....

— Zabrałeś i śmiesz się zwać szlachcicem!... i dumny jesteś!... czem?... jużciż nie przodkami, którzy się wstydzą takiego potomka.

— Ależ panie Stanisławie! przyznaj, że trzeba mieć wiele cierpliwości.

— Zaiste, opatrność stwórcy ma jej wiele... Goździkiewicz tedy przyszedł do mnie piechotą, i błagał o litość... bo jego dzieci głodne!...

— Ot zwykłe bajki żebracze!...

— Powiadam ci, że jego dzieci głodne, a on nie po jałmużnę, ale po swoją należytość przyszedł!...

— Dobrze! jak będę miał czas, trzeba się będzie porachować.

— A tymczasem niech mrą głodem. I ty liczysz się do wyższości towarzyskich, nadymasz się jak pęcherz! Tfu! czyż może być błogosławieństwo boże nad nami.

— Wiem ja dla czego pan brat tak bardzo partją Goździkiewicza....

— Ty wiesz! zakrzyknął major. A więc mów! mów!! I zbliżył się do brata groźny jak nigdy, a takim zapalał gniewem, że aż mu poczerwieniała dawna na czole blizna. Pan Ignacy przestraszył się na prawdę.

— Ja tylko chciałem....

— Nowem oszczerstwem pluć na matkę twego syna; twoja żona ujmuje się za Goździkiewiczem, bo jest kobietą szlachetną, ale ty! ty! czem jesteś...

— Nic złego nie miałem na myśli... Lecz ciszej panie bracie! słyszę kroki!... to żona idzie!...

— Gdzie!... przemówił ciszej major. Miałem jeszcze cokolwiek grosza. Przeznaczałem go dla Engeniusza.... Zapłaciłem Goździkiewicza, oto jego zakwitowanie! A te-



raz zaklinam cię Ignacy na pamięć ojca naszego, pozwól ratować, co się jeszcze da wyratować z fortuny naszej!... dla syna!...

— Radbym najszczerzej!...

— Przedaj wszystko!... możemy jeszcze żyć skromnie ale uczciwie....

— Gdzieś na burku, jak jaki szlachetka!

— Milcz!... twoja żona idzie!...

(C. d. n.)

## Spojrzenie.

Niebo jesieni, bez chmur i bez słońca,

Jak wieko trumny kryje mgły zasłona, —

Wiatr żółkłe liście pod nogi mi strąca,

Ostatni kwiatek nierozkwitły kona!

I uschło serce, choć dusza gorąca,

I sny nadziei zamarły śród łona —

A w sercu smutek i boleść bez końca,

Jak ta jesienna niebiosów opona!

Zkądże ten promień przebiegł tam ku niebu?

Czy wiosna wraca? Czy to słowik śpiewa?

Sny mego serca wracają z pogrzebu,

I kwiaty kwitną i wonieją drzewa...

O nie!.. tej zmiany tajemnica cała:

Że ją ujrzalem, że na mnie spojrzała! —

## POPAS W CHĘCINACH.

Wyjątek z pamiętników ni edrukowanych.

(Ciąg dalszy).

Uprawców ziemi uajwięcej potrzebowano.

Ja nie tylko wiaść się do tego nieumiałem, ale nawet z koniecznością oddania się tego rodzaju pracy pogodzić się nie mogłem.

I kiedy w kilka dni pobytu w Nowym-Jorku znowu do Hamburga i do pierwszego zatrudnienia handlowego powrócić zamierzyłem, i kiedy z tą myślą portu na mój statek wracałem, przybyłem właśnie w tej chwili, w której nowy okręt angielski do portu zawijał.

Przybycie statku z dalekich stron jest w każdym porcie przedmiotem ciekawości.

Ja może większą jak inni w wielkiej liczbie zgromadzeni, ciekawością zdjęty docisnąłem się w to miejsce w porcie, do którego przyplływają z podróżnemi łodzie.

Przed wszystkiemi innemi najprzód dwóch panów wysiadło.

Majtkowie którzy ich do łądu przywieźli, oddawali im niezwykle poszanowanie i uprzedzającą grzeczność.

To wprawdzie wcale mnie niezastanowiło. Pomyślałem sobie, bogaci to zapewne jacyś panowie, a przewożący hojnego datku za usługę, z porządku należąca, spodziewać się muszą.

Ale jakież w tej chwili było moje zadziwienie, jakież mnie radość trudna do opisania przejęła? —! kiedy ci panowie obydwaj, przechodząc tuż koło mnie, zagadali do siebie po polsku.

Zagadali po polsku panie! Z ust jednego z nich w mowie ojczystej usłyszałem te słowa: Otóż nareszcie po tylu burzach na własnej ziemi i na obcym morzu, stanęliśmy u celu naszej długiej podróży!!...

— Boże! niech ci będą dzięki! Niewypuszczaj z opieki ojczyzny mojej i biednych współrodaków moich!! odpowiedział drugi.

Boże! niech Ci będą dzięki, pomyślałem, żeś mi choć tych słów kilka w ojczystej mowie, tak daleko od swoich usłyszeć dozwolił. I w tej chwili bez namysłu i bez wypracowanego celu, słuchając jedynie głosu rozrzewienia i radości, jednemu z nich bliżej mnie będącemu, rzuciłem się do nóg i zawołałem po polsku: O panie! nieopuszczaj mnie biednego, ja ciebie nie odstąpię!...

— Powstań, rzekł do mnie łagodnie; a kiedy posłuszny jego rozkazowi stanąłem przed nim, nie mogąc zalany łzami słowa przemówić, przypatrując się mojej powierzchowności, zapytał: kto jesteś młody człowieku?

— Ja? Ja jestem sierotą po wymordowanych rodzicach na Pradze.

— Cóż cię w tę strony przywidło? jakim sposobem dostałeś się w tak dalekie od ojczyzny kraje?

— O tem bardzo wiele trzebaby opowiadać.

Ten drugi pan w czasie mojej rozmowy z pierwszym przypatrywał mi się z zajęciem, w oczach jego widziałem łzy, których wówczas powodu wytłumaczyć sobie nie mogłem. Były to zapewne łzy rozrzewnienia, jakie wspomnienie bolesnych ciosów, których nasz kraj doznał, wywołało.

I rzeczywiście trzeba było szczególnego wypadku łosów, żeby tych ludzi, szukających wytchnienia w drugiej półkuli świata po tylu doznanych w kraju nieszczęściach, na samym wstępie przywitał ten najprzód, który im znowu niezgojone rany bolesnemi wspomnieniami odnowił.

— Chodź z nami młodzieńcze, pomówimy obszerniej, rzekł do mnie nieboszczyk Niemcewicz.

Gdyż jednym z tych dwóch panów był Jenerał Kościuszko, a drugi rozmawiający ze mną był pan Niemcewicz.

Otóż widzisz pan że przyszliśmy nareszcie w opowiadaniu do pana Niemcewicza. Ale co prawda, o Jenerale Kościuszcze już za życia rodziców na Pradze dużo słyszałem, ale pan Niemcewicz wówczas z imienia nawet był mi nieznanym.



Wieżę o przybyciu Jenerała Kościuszki z panem Niemcewiczem w jednej chwili cały Nowy-Jork przebiegła.

Zaledwie też stanęliśmy w domu zajezdnym, mnóstwo ludzi otoczyło ich pomieszkanie.

Witali obydwóch oznakami niezwyklej radości, szczególnie Jenerała Kościuszkę, którego imię i zasługi w tym kraju położone, wszystkim były znane.

Cieszyło mnie to nadzwyczaj, chociaż w ówczas zasług tych znakomitych ludzi ocenić nieumiałem. Zdawało mi się jednak że i ja chociaż żyd, ale jako polak i współrodak mam jakieś prawo do tych poszanowania i uwielbienia oznaków.

W tej chwili zapomniałem o mojej niedoli, o mojem sieroctwie, a rodzaj uznania godności własnej, wyższej nad wymarzone korzyści materyalne, myśl moją owładnął.

Pierwszy raz w życiu poznałem, co jest zasługa osobista, czem jest cnota obywatelska w obec marnych skarbów i znikomych bogactw.

Kiedy nareszcie przybyli moi panowie rozgościli się w oberży, i wolni zostali od tego że tak powiem obłożenia witającego ich tłumu mieszkańców, pan Niemcewicz zbliżył się do mnie i rzekł: No młodzieńcze, nareszcie jesteście sami, teraz mogę z tobą pomówić, a przedewszystkiem powiedz mi kto jesteś, i jakim sposobem aż tutaj się dostałeś?

Opowiedziałem wszystko wiernie i szczegółowo, tak jak tutaj panu opowiadam.

W czasie tego opowiadania pan Niemcewicz kilka razy przemawiał do jenerała Kościuszki w języku francuskim którego w ówczas nie rozumiałem.

Kiedy opowiadanie moje skończyłem, po krótkiej znowu rozmowie z Jenerałem Kościuszką, zawsze po francusku, zapytał mnie pan Niemcewicz: Cóż dalej przedsięwziąć zamýślasz?

— Albo ja wiem odrzekłem, mojem jedynem jest życzeniem, nieopuszczać już panów i służyć im wiernie.

— Niemasz więc chęci wracania do kraju? przecież tobie powrót nie może być wzbroniony?

— Po co? odrzekłem, tam tyle nieszczęścia doznałem, tam wszystko co było najdroższe straciłem.

— Z opowiadania twego przekonywam się, rzekł pan Niemcewicz, że jak w pierwszej chwili sam przestraszył i obawa były powodem żeś od miejsc rodzinnych uciekał, tak potem chęć tylko zysku i zebrania w krótkim czasie pieniędzy, przeganiała cię z miejsca na miejsce. Tutaj moje dziecko o zbiorach myśleć nie można, a żeby potrzeby życia opędzić, czeka cię tylko ciężka praca lub rzemiosło, do których niewiem czy jesteś usposobiony. Twój współwyznawcy zawsze tylko handel i byle jakie spekulacje, nad rolniczą pracą która tu najwięcej popłaca, przekładają. Do chwilowego zaś zarobku, jakie dźwiganie ładunków okrętowych w porcie mogłoby zapewnić, niedostaje ci jeszcze tych sił fizycznych które koniecznym do tego są warunkiem.

— Prawda, że nic nie umiem, odpowiedziałem, ale zlituj się pan nademną, nieopuszczaj mnie biednego sierotę, każdą najcięższą pracę podejmę z ochotą, o zyskach i wymarzonych korzyściach więcej już myśleć nie będę, byle tylko z wami panowie, z wami zawsze być razem.

— Zostań więc ze mną, odpowiedział, o ile będę w stanie zatrudnić się twym losem, przygotuj się jednak na to, że każda przeciwność a nawet niedostatek jaki mnie spotkać może, dzielić będziesz musiał ze mną.

Ucałowałem ze łzami ręce mego dobroczyńcy, nieposiadałem się z radości, bo mi się zdawało że znowu w pośród rodziny się znajduję.

Od tej chwili powziąłem zaraz do pana Niemcewicza przywiązanie jak do własnego ojca. I jak za życia jego przechowałem je wiernie, tak z śmiercią jego wdzięczność i uwielbienie moje dla niego do grobu poniosę.

Za jego staraniem uwolniono mnie z służby okrętowej, wypłacono mi żołd należący.

Jenerał Kościuszko w tym samym domu zajmował oddzielne pomieszkanie, miał przy sobie niejakiego Libiszewskiego, bardzo zręcznego człowieka. Był on kamerdynerem, marszałkiem i zarazem najbliższym jego osoby. Ja zaś odtąd byłem w służbie u pana Niemcewicza.

Wiele i bardzo wiele musiałbym przytoczyć szczegółów i dat, gdybym w porządku i w właściwej kolei chciał panu opowiedzieć, przez co przechodziliśmy, wszyscy jedną zrazu stanowiąc rodzinę, z jaką troskliwością pan Niemcewicz mną się zajmował, w jaki sposób ojcowskiej opieki dawał mi dowody, kiedy i dla czego z pierwszego miejsca naszego pobytu, z nowego Jorku przeniesiliśmy się w inne, jak nam, mianowicie panu Niemcewiczowi, nieraz pomimo współczucia mieszkańców Ameryki niedostatek dokuczył, jak w tych ciężkich razach wspieraliśmy się nawzajem, jak pan Niemcewicz odmawiając sobie potrzeb nieledwie koniecznych, od nikogo wsparcia nie żądał, a mnie jednak który byłem mu ciężarem, nie tylko nie opuścił, ale nawet z bezprzykładnem w podobnych razach poświęceniem ciągle się mną zajmował i ze mną wszystkim się dzielił.

Dosyć będzie na tem, gdy panu powiem, że po kilku dniach przyjętej u niego służby, zrana, i po bardzo skromnym obiedzie, w godzinach wolnych od czytania i pisania, bo temu najwięcej czasu poświęcał, uczył mnie czytać i pisać po polsku.

Nauka ta tak w nowym Jorku, jak niemniej w czasie pobytu naszego w innych miejscach, nieprzerwanie trwała.

Szesnaście lat wieku licząc i kochając pana Niemcewicza całym sercem, pracowałem z największą usilnością. Doznałem też prawdziwej radości, że z postępów moich w nauce był zadowolony, że wdzięczność moją dla niego chociaż w ten sposób okazać mu mogłem. Bóg co prawda, nieodmówił mi zdolności, przy których z pomocą



usilności i nieustannego czuwania nademną, w krótkim czasie, bo niespełna w roku, czytałem i pisałem bardzo do-  
brze po polsku.

Książek polskich mieliśmy zaledwie kilka, ale poufne rozmowy pana Niemcewicza ze mną więcej były nauczające jak pełne teorii rozumu dzieła.

Jemu to winien jestem żem wiarę przodków moich dochował. On mnie o dopełnienie jej przepisów zawsze upominał. On to nauczył mnie: Co jest cnota? poczciwość? prawość? Na czym właściwie miłość bliźniego? miłość ojczyzny i miłość Boga zależy. On to wlał we mnie to przekonanie, że nie masz religii, której dopełnienie tych cnót nie byłoby podstawą.

D. n.

## NOWE DZIEŁA.

**Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Ermancyi**

przez

**Dr. Antoniego Zanowicza.**

opowiedział Dr. T. Trippin.

(Ciąg dalszy).

Kwini Talaja, to jest królewna gołębica, przyjmuje go z najwną serdecznością, zawieszona między drzewami na lekkiej tkance, otoczona cudnymi gołębiami i ptakami o barwach najpyszniejszych, między którymi najpiękniejsze są turkawki niebieskie z purpurowemi główkami kuru-kuru zwane. A papużki jedna piękniejsza od drugiej przylatywały do młodej dziewicy, gwarząc swym krzykliwym głosem:

— Taja! Talaja! kwini Talaja.

Obrazek ten nie jest bez wdzięku oryginalnego.

Zanowicz coraz częściej bywa na wyspie Eimeo, coraz milej przyjmowany od Talai, która z niewinną a pojętną ciekawością wypytuje go o wszystkie szczegóły europejskiej cywilizacji, kocha się w niej i wychowuje ją zrazem. Ona go słuchała chciwie i caraz widoczniej okazuje mu serdeczne przywiązanie swoje.

Zdybał ja raz wraz z służącą, pływającą po morzu.

— Tajo! rzekł do niej: ja truchleję gdy pomyślę o niebezpieczeństwie takiej kapieli; gdybym miał prawo, to bym ci zakazał tych niebezpiecznych wycieczek.

— To chciej mieć prawo; ja twoich rozkazów najchętniej usłucham, Tajo Toni! odrzekła mu na to rumieniąc się i oczy paluszkami zasłaniając.

*Tout comme chez nous!* musimy powtórzyć.

— Ile masz lat moja Tajo Talajo? pyta rozkochany lekarz.

— Czterech miesięcy nie dostaje mi do lat szesna-

stu! odpowie kwini z westchnieniem. i znów się zapłoniła.

— Szesnaście miesięcy czekać byś musiała, gdybyś chciała pozostać wierną przysiędze! odrzekł lekarz niby sam do siebie, ale tak głośno, że go dziewczyna usłyszała.

Na te słowa zerwała się Talaja, pobiegła do szałas, i rozplakała się rzewnie. Bo kobiety w tym kraju jak powiada podróżnik są równie tklive jak waleczne i zapalczywe w potrzebie.

A gdy lekarz chciał wejść do szałas rozplakana dziewczyna wołając do niego: Tabu Talaja! Tabu Talaja! co znaczy: *świętość Talaja!* Bo córki królewskie, należące do dziewię przysięgłych, mogą się ogłosić świętością.

W środku tego romansu przypada epizod podróży w góry, opisany przez sumieniem poruszonego podróżnika. Szczegóły tej wycieczki, naukowej niby, są po części topograficzne, po części zaś ściągają się do historii naturalnej jako najmiłszego studjum Zanowicza.

Za powrotem z tej podróży zastaje wielką zmianę w ukochanej Talai. Zapłakana nie wita go jak dawniej Tabu-Talaja! ale krzyczy Tabu Tony! to jest: świętością Antoni, i ucieka do szałas.

Zdziwiony i boleśnie uderzony lekarz wraca do fregaty, i tam po długim wahaniu się powiada mu Alfons pod sekretem, że posadza księdza Wincentego o to; dostrzegł bowiem, że ten jeździł do wyspy Eimeo. I tak było w rzeczy samej. Ksiądz Wincenty wytłómaczył przed niewinną dziewicą, że Antoni jest służbie bożej przeznaczony, że zatem nigdy nie może być jej kochankiem ani mężem.

Mimowolnie trzeba powtórzyć znowu: *Tout comme chez nous!*

Coraz tedy jaśniej występuje, że ojciec Wincenty umyślnie dodany jest Zanowiczowi, by czuwał nad nim i tajemnymi środkami do stanu kapłańskiego nakłaniał. Zkąd ta opieka tak szczególna nad pojedynczym człowiekiem, aby aż za nim posyłać tajemniczego stróża o kilka tysięcy mil, tego autor nie tłumaczy, a czytelnik naturalnie nie zrozumi.

Długo trwało, zanim zdołał uspokoić piękną Talaję, a gdy już uspokoił, wyznali sobie oboje namiętną miłość, i przyrzekli że się do śmierci kochać będą.

— Lecz czy mogę być jej mężem? zapytuje Zanowicz sam siebie, lecz trochę już za późno, bo jużciż nie złamie uroczystości danych przysięg.

Tu znowu kilką niejasnemi słowami rzuca niepewne jakieś światło na swoje stanowisko względem tego bractwa jakiegoś, które nawet od świeckich braci swoich ma wymagać ślepego posłuszeństwa a często i celibatu.

Po czulem pożegnaniu jedzie nasz bohater do Kalifornii, zkąd mają nazad wrócić do Otajtji. Kapitan Rifiat robi tę wyprawę ze stanowiska spekulacyjnego, wiedzie



bowiem do Kalifornii rozmaita żywność, którą tam przepłacają; Zanowicza przypuszcza do pewnej wspólki.

Nie będziemy postępować krok w krok za podróżnikiem w wszystkich jego podróżach, których szczegóły nie wiele też ciekawego i nowego zawierają. I nareszcie w tym pierwszym, dłużej opisanym ustępie, daliśmy już niejaki wyobrażenie o sposobie, w jaki ta podróż opisana. Dalsze więc epizody kilka tylko przebiegać będziemy słowami.

Znana już wszystkim Kalifornia, nie też o niej nowego nasz podróżnik powiedzieć nie mógł. Jedna myśl jednym słowem wyrażona, maluje cały ten nowy kraj, z chaosu chaotycznym porządkiem wychodzący. „Złoto!” jest to jedno wszechmocne słowo. Złota! złota! pragną wszyscy, za złotem gonią, nad złotem stękają, pracują; z głodu, nędzy, i osłabienia padają martwi nad martwym złotem.

Ceny potrzeb życia są tam niesłychane. Porcja bifsztjku najtaniej kosztuje kilkanaście franków, nędzny kowal dostaje dziennie 20 dolarów. To t. j. p. Riffat sprzedał za 500.000 franków, to co go kosztowało 30.000 franków.

Rozdzieliwszy znaczne zyski pomiędzy podwładnych, wybierają się kapitan z powrotem do Taiti, dokąd go nowy wiedzie plan zniszczenia przewagi angielskiej. Już wszystko gotowe na okręcie do odjazdu, gdy nagle przybywa jakiś bogaty hiszpan z miasta, zaklinając lekarza, aby przybył co prędzej do syna, który złamał nogę, i kładzie na stół 4.000 franków. Kapitan zezwala na to, ale Zanowicz musi przysiąc, że w sześć godzin wróci, bo dłużej okręt czekać nie może. Dla pewności jedzie z nim ksiądz Wincenty i młody Alfons jako pomocnik lekarski. Siadają do powozu i gonią lądem. Przecucie złowrogie przejeżdża Zanowicza, gdy spogląda na złośliwe spojrzenie księdza Wincentego, a mianowicie, gdy podróż ta za nadto długo się przeciąga. Chce wysiąść z powozu, lecz siedzący w nim chwytają go i wiążą.

— Mądry panie Antoni! przemawia ksiądz szyderczo. Myślałeś że nam umkniesz i wrócisz do pięknej poganki. Nie, tu zostaniesz, będziesz pracować w swoim zawodzie, zarobisz kilka milionów, które zdadzą się towarzystwu, poczem wyleczonego z wszelkich romansów obleczemy cię w czarną sukienkę.

Nie chcemy się dłużej rozwodzić nad prawdopodobieństwem takiego zdarzenia; niemożemy jednakże nie przyznać, że jest ogromna przesada w ulubionem opisywaniu rozlicznych stosunków tego towarzystwa, przesada w obwinieniu jego o takich tysiące intryg, o których mu się zapewne nie śni nawet.

Zawożą pana Antoniego do jakiejś starej kaplicy. Scena nocna, okropna, trocha rozbójniczą jakąś scenę w

w Abruzzach przypominająca. W kaplicy jest kilku ludzi zgromadzonych, są to majtkowie zbiegli z okrętu, żądzą złota porwani. Jest między niemi i Malfilatre, w którym *sacra auri fames* przemogła i wątrobiane usposobienie. Alfons niewinnie w to wlażył, bo mu tylko zmęczonemu długą niewolą na statku przyrzekł ksiądz Wincenty, że pomoże do uciezki. To też postanawia uratować przyjaciela lekarza. Robi to puszczając w nocy z wieży kapliczki fajerwerki, znajdujące się przez prawdziwie powieściarza szczęście u niego w kieszeni. Przybywa Riffat, oswobodza więźniów, ksiądz ucieka; Malfilatre pada z głową, przez Alfonsa roztrzaskana.

Statek wraca nazad do Otajty. Odwiedzają po drodze wyspy Sandwich. Stolica tego archipelagu jest Honolulu, mająca 12.000 mieszkańców, położona w miejscu najżyźniejszym. Tu został zamordowany w roku 1779 kapitan Cook. Mieszkańcy tych wysp podobni są do Otajczyków, należąc do najpiękniejszej między ludźmi kolorowemi rasy malajskiej. Sandwich jest królestwem mającem swoją arystokracją tak prawie jak w Anglii. Już to i powierzchowność wiele znaczy. Szlachcica nie męznego, nie wysokiego i nie zbudowanego dobrze nie rozumieją nawet. Mniej zwinni, pojętni i zręczni od Otajczyków, równie łagodni i gościnni, są daleko drażliwsi na punkcie honoru.

C. d. n.

## Rozmaitość.

\* Temi dniami przybył z Warszawy p. Nikodem Biernacki znakomity artysta-skrzypek, i jak się dowiadujemy zamysła po 20. t. m. wystąpić w naszej stolicy z koncertem. Miłośnicy muzyki przypomną sobie pana Biernackiego, występującego w zbyt młodym wieku przed tutejszą publicznością w roku 1847. Jedno z pism lwowskich objawiło już wtedy wielkie względem młodego artysty nadzieje, a dzisiejsze jego powodzenie na polu sztuki uwieńczyło te nadzieje. Odtąd przeszedł nasz artysta wiecie stopni swego rozwinięcia, i stanął u mety prawdziwego, nie pospolitego talentu. Dzienniki warszawskie zapisują długie kolumny pochwałą gry jego i wliczają miejsca jego popisów, które wszędzie wzbudziły dla naszego ziomka zapał i prawdziwe zachwycenie. Podamy tu kilka słów jednego z dzienników warszawskich, aby naszą publiczność bliżej z artystą zapoznać: „Po ośmiomiesięcznej nieobecności swojej wrócił do Warszawy znakomity artysta skrzypek, p. Nikodem Biernacki. W przeciągu tego czasu, p. Biernacki oprócz różnych miast królestwa, zwidził całe prawie cesarstwo, występując tam we wszystkich znaczniejszych miastach, i wszędzie wzbudzając uniesienie i zapał. Po objęciu cesarstwa, udał się do Petersburga, gdzie również jak i w innych miejscach, dając kilkakrotnie koncerty, doznał jak najzaszczytniejszego przyjęcia. Oprócz tego występował także i w Peterhofie, a tam oprócz tryumfów, uniósł z sobą pamiątki w nader drogich podarkach. Opuszczając Petersburg, udał się do Szwecji, gdzie jak wspominają miejscowe gazety oprócz Vieuxtamps i Ernsta, żaden jeszcze artysta podobnego jak p. Biernacki nie wzbudził zapału. Następnie zatrzymał się w Rydze i Mitawie, tego samego doznając przyjęcia; a w powrocie przez cesarstwo do Warszawy, dwa razy wystąpił w



Kownie, zatrzymany tamże będąc z powodu licznego zjazdu różnych osób. Dwa te koncerty, były odświeżeniem tych wrażeń, jakie przy pierwszym tamże wystąpieniu wzbudził ten artysta. W liczbie wykonywanych przez niego utworów, zasługuje na wspomnienie mazur własnej kompozycji, który przezwany został czarodziejskim, tak jest porywającym i zajmującym słuchaczy.

Ten krótki szkic artystycznego p. Biernackiego wystarczy, aby występującego unas z oczekiwaniem powitała publiczność nasza.

\* W pamiętnikach swych opowiada J. D. Ochocki: August III gościł raz u magnata P. M. w B... gospodarz podejmował sercem otwartem i piwnicą; lało się wino przez trzy dni bez ustanku, narreszcie nadeszła chwila odjazdu. Najjaśniejszy pan siadł już do karty, gdy go M... zaatakował jeszcze jednym kielichem.

— Królu, zawołał rozczulonym do łez, mam jeszcze dwie butelki wina, którychby nikomu nie dał, ale dla Waszej Królewskiej Mości je dobędę...

Król rozgniewany że mu je tak późno ofiarowano, odparł z passją:

— Schowaj że je sobie wacpan dla kogo lepszego...

**Przyjechali od dnia 5. do 7. Listopada do Lwowa.**

Hr. Poniński Leonhard, z Grzymałowa. PP. Zgadzziński Konstanty, z Ulicka. Łopuszański Bolesław, z Czyszek. Janicki Wiktor, z Ostrożka. Łucki Adam z Sarn. Kronstein Hipolit, z Przemyslan. Pajgert Józef, z Sidorowa. Turkuł Tadeusz z Żółtkwi.

Hr. Adolf Poniński, z Krakowa. Hr. Stanisław Lanekoroński, z Komarna. Hr. Zofia Fredro, z Krakowa. Stojanowicz Feliks, z Mokrzan wielkich. Leon Stadnicki, z Nadyb. Krasnopolski Grzegorz, z Sambora. Rubczyński Alfred, z Stanina. Szymanowski Szymon, z Spassów. Kieszkowski Józef, z Hrusiatycz. Rakowski Jan, z Krakowa. Sliwiński Wojciech, z Dąbrówicy. Romaszkan Antoni, z Bórakówki. Zawadzki Marcin, ze Skałatu. Jaworski Józef, z Łukawca.

**Wyjechali od dnia 5. do 7. Listopada ze Lwowa.**

Hr. Dzieduszycki Włodzimierz, do Gaj. Sezański Seweryn, do Kormanowic.

Hr. Bissinger do Brodów. Hr. Bąkowski do Mikołajowa. PP. Jaruntowski Jan, do Bursztyna. Chmielewski Karol, do Buska. Żurakowski Jan, do Zadorowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 7. b. m. o g. 2. popołud.**

Augsburg za 100 zlr.	113 <sup>5</sup> / <sub>8</sub>	Pożyczka 5%	74 <sup>11</sup> / <sub>16</sub>
Hamburg za 100 tal. banco	82 <sup>7</sup> / <sub>8</sub>	Akcyje banku	94 <sup>2</sup> / <sub>8</sub>
Indyn za 1 funt szterl.	11.4	Kolej północna	204 <sup>2</sup> / <sub>2</sub>
Medyolan za 300 lirów	112 <sup>5</sup> / <sub>8</sub>	Obl. ind.	71 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
Paryż za 300 franków	132 <sup>1</sup> / <sub>3</sub>	Nowa pożyczka z loterya	98
Agio duk. ces.	18 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	Pożyczka narodowa	78 <sup>1</sup> / <sub>16</sub>

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówka	towarem
Dukat holenderski	zlr. 5	kr. 12	zlr. 5 kr. 15
Dukat cesarski	" 5	" 16	" 5 " 19
Półimperyał zł. rosyjski	" 9	" 1	" 9 " 4
Rubel srebrny rosyjski	" 1	" 42	" 1 " 43
Talar pruski	" 1	" 40	" 1 " 42
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1	" 13	" 1 " 15
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	" 90	" 15	" 90 " 40
Galicyskie obligacje indemaizacyjne bez kuponu	" 63	" 15	" 68 " 50
5 proc. pożyczka narodowa	" 78	" 15	" 79 " —

**Do udzielania nauki muzyki**

fortepianu, tudzież języków niemieckiego i polskiego szuka pewna osoba umieszczenia jako nauczycielka, albo do towarzystwa. Bliższą wiadomość udzieli księgarnia H. W. Kallenbacha we Lwowie. (206 3—3)

**Księgarnia**

**J. A. Pelara w Rzeszowie**

poleca swoją

**Wypożyczalnię książek**

która zawiera dzieła w języku polskim i niemieckim, treści naukowej i zabawnej, oryginalne i tłumaczenia najnowszych i najciekawszych dzieł, po kilka egzemplarzy, żeby równocześnie żądaniom kilkunastu abonujących zadość uczynić można.

Katalogu dzieł znajdujących się w czytelni i szczegółowych warunków, udziela na żądanie wyżej wymieniona księgarnia. (194 4—6)

**W księgarni**

**H. W. KALLENBACHA**

jest do nabycia powieść:

**Kobieta z głową.**

Obraz

Z ŻYCIA GALICYJSKIEGO.

przez

**Dr. T. Tripplina.**

2 tomy 2 zlr. 30 kr. m. k.



**W miasteczku Świrzu**

jest **dóm murowany** z zabudowaniami i gospodarskimi i ogrodem z wolnej ręki do sprzedania. Bliższa wiadomość w redakcyi Nowin. (210 3—3)

**Pijawek**

w małych partyach aż do ćwierć kopy, kopa po 5 zlr., w większych zaś partyach po mniejszej cenie można z pierwszej ręki dostać w aptece Franciszka Tomanka pod srebrnym orlem we Lwowie; przyjmują się także wszelkie posyłki na prowincyą. (208 3—4)

**SPRZEDARZ DÓBR.**

Dobra Bylice w obwodzie Samborskim na trakcie wołowym między Samborem a Przemyślem leżące, obejmujące pola i łąk przeszło 900 a lasu około 650 morgów. Tarło t. j. stacje i rogatki wołową, stawy, młyny są z wolnej ręki do sprzedania. — Bliższą wiadomość powziąć można za listami frankowanymi w księgarni Imc. Pana Kallenbach we Lwowie. (201 3—6)

Do dzisiejszego numeru dołączone są ryciny mód.